

Odpowiedź Piotrowi Kaszkowiakowi

Mateusz Klinowski

Piotr Kaszkowiak wysuwa garść zarzutów względem mojego tekstu analizującego niektóre spośród argumentów przeciwników tzw. „legalizacji” związków osób jednej płci. Zarzuty te, o różnych ciężarze i charakterze, w zamierzeniu ich autora demonstrować mają słabe punkty moich wywodów. Wydaje się jednak, że chybiają one założonego celu. Poniżej pokrótce postaram się odpowiedzieć na każdy z podniesionych zarzutów i wyjaśnić, skąd bierze się taka, a nie inna, jego ocena.

Źródła

P.K. pisze: „dziwi więc, czemu Autor, zamierzając opublikować swój artykuł w czasopiśmie *filozoficznym*, zignorował to wszystko, co na poruszany przez niego temat mają do powiedzenia ci *filozofowie*, którzy są przeciwni legalizacji.” Odpowiedź na tak postawione pytanie znajduje się w moim tekście – interesowała mnie aktualnie prowadzona debata polityczna w jej rzeczywistym kształcie i z jej faktycznymi uczestnikami. Zresztą, nie jest też prawdą, że zignorowałem **wszystko**, co na ten temat mieli do powiedzenia filozofowie.

Z drugiej strony, w aktualnie toczącym się w Polsce sporze o legalizację rodzimi filozofowie jakoś nie są skorzy spieszyć z argumentami. I dlatego mój tekst nie został napisany w ramach polemiki z jakimś konkretnym, filozoficznym głosem, co przecież obszernie wyjaśniłem.

Analiza argumentu z przekonań moralnych

Jedną z najpoważniejszych (niestety także wielce irytujących) wad polemicznego głosu P.K. jest nieprecyzyjne rekonstruowanie moich własnych twierdzeń i zniekształcanie ich w ten sposób, by łatwo poddawały się krytyce. Pisze więc P.K. tak: „Klinowski [...] przyjmuje m. in. takie oto dwa twierdzenia [analizując argument z przekonań moralnych – przyp. M.K.]: (1) Nie istnieje żadne rozumienie słowa

«natura» nadające się do zastosowania w sporach etycznych (zob. s. 22, przypis 2); (2) Nie istnieje żadne kryterium prawdziwości przekonań moralnych, które mogłoby nadawać pewnej ich grupie status obiektywnie prawdziwych, a przez to powszechnie wiążących (zob. s. 28)''.

Łatwo się przekonać, czytając mój tekst, że nic takiego na podanych stronach nie twierdzę. I tak, odnośnie (1) stwierdzam jedynie, że istnieją wiarygodne argumenty na rzecz tezy, iż pojęcie *natury* człowieka w sporach, także politycznych, nie powinno być używane, choć niestety często bywa. Odnośnie (2) przyjąłem zaś, nie tyle, że nie istnieją kryteria prawdziwości przekonań moralnych, lecz że każde z takich kryteriów może zostać poddane w wątpliwość i stąd powołanie się na takie kryteria należy traktować w debacie publicznej z dużą dawką podejrzliwości.

Oba te twierdzenia, w mojej – dodajmy – a nie przypisywanej mi przez P.K. interpretacji, służą do pokazania jedynie tego, że **powoływanie się na treść** własnych poglądów moralnych w debacie nad kształtem regulacji prawnych nie tylko nie jest najlepszą strategią argumentacyjną, ale nie jest także strategią, na którą w demokratycznym i pluralistycznym społeczeństwie powinno się przystawać.

Prawo naturalne

P.K. zarzuca mi również to, że zbywam milczeniem kwestie zgodności homoseksualizmu z prawem naturalnym. Jego zdaniem, „z perspektywy przeciwników legalizacji – spór toczy się dokładnie o te metafizycznie «obciążone» kwestie: o naturę i prawo naturalne”. Wszystko to prawda, lecz nie zmienia to w żaden sposób faktu, że przeciwnicy legalizacji posługują się argumentami ze szkody i zagrożenia społecznego. I nie jest nadużyciem, ani tym bardziej „po prostu usuwaniem adwersarza z filozoficznej debaty”, że właśnie tymi argumentami się zajmuję.

Odnoszę wrażenie, iż w miarę obszernie wyjaśniłem, dlaczego w moich rozważaniach pomijam problematykę prawa naturalnego. I nie stało się tak, ponieważ mam takie, a nie inne poglądy moralne dotyczące homoseksualizmu (w domyśle: nie potępiam praktyk homoseksualnych), co P.K. sugeruje. Z drugiej

strony, nie wydaje mi się także, aby „każda koncepcja prawa naturalnego była dla zwolennika legalizacji kłopotliwa”, jak uważa P.K. Z pewnością jest to każda koncepcja, na którą on gotów byłby przystać. Jednak dla mnie, a pewnie i wielu innych obywateli tego kraju, nie stanowi żadnego problemu przyjęcie takiego sposobu rozumienia terminu „natura”, który byłby całkowicie zgodny z praktykami homoseksualnymi.

Metaetyka

Nigdzie w moim artykule nie zakładam, ani nie bronię, „metaetycznego anty-realizmu”. Przyznam się również, że nie rozumiem, w jaki sposób rzekomy brak rozstrzygnięcia wielu „głównych sporów z zakresu filozofii” miałby podważać fakt, że takiego rozstrzygnięcia brakuje również w kwestii prawdziwości przekonań moralnych.

Nie czuję także powinności, o której wspomina P.K., rozpoczęcia „twórczej polemiki” z przeciwnikami legalizacji od analiz z zakresu metaetyki. Po pierwsze, przeciwnicy legalizacji, o czym wielokrotnie już pisałem, posługują się argumentacją, która nie ogranicza się jedynie do prostego przywołania treści własnych poglądów moralnych. Po drugie, kwestia ewentualnej prawdziwości bądź fałszywości tych poglądów ma drugorzędne znaczenie w dyskusji politycznej. Liczy się raczej fakt, że ktoś pewne przekonania posiada, nie zaś ich epistemologiczny status. W państwie demokratycznym i pluralistycznym już samo posiadanie poglądów moralnych stanowi wystarczającą przesłankę do uruchomienia pewnych mechanizmów ochrony, wazenia racji, przyznawania uprawnień, podejmowania decyzji (choć czasem ma też znaczenie kwestia ich nabycia i uzasadnienia).

W takim razie, nie zasługuje na przyjęcie także kolejne twierdzenie P.K., które na dodatek znów wkłada on w moje usta, mianowicie, że w społeczeństwie z założenia pluralistycznym realizm metaetyczny jest niedopuszczalny. Niedopuszczalne jest raczej czynienie w pewien określony sposób z własnych przekonań moralnych argumentu w sporze o kształt prawodawstwa. Sposób ten drobiazgowo opisałem w rozdziale II mojego artykułu.

Pluralizm

Nie jest również i tak, że antyrealizm nie mógłby się stać uzasadnieniem dla zasady pluralizmu światopoglądowego (pluralizmu przekonań moralnych). Zasadniczo mógłby, ale nikt w ten sposób nie będzie pluralizmu uzasadniał. Krytyka P.K. znów więc trafia w pustkę.

Przypominam, że mój artykuł dotyczył aktualnie toczącej się debaty publicznej, i to debaty na temat kształtu **prawa**. Od tego nie należy abstrahować. Oczywiście zasada neutralności światopoglądowej sama w sobie nie jest neutralna światopoglądowo i nic nie stoi na przeszkodzie, by ją zmienić w imię jakiejś „lepszej moralności”, co wydaje się postulować P.K. Jednak – póki co – jest to **zasada wyrażona w Konstytucji RP** i każdy uczestnik debaty publicznej zwyczajnie musi ten rudymmentarny fakt respektować, o ile oczywiście jego argumentacja ma być poważnie brana pod uwagę.

P.K. zapytuje, „czy wolność przekonań nie obejmuje przekonań, które dotyczą tego, jak powinno być urządzone państwo”. Ależ oczywiście. Problem tylko w tym, że żadne z takich przekonań **nie powinno być racją** dla wydania stosownych regulacji prawnych. Nie jest więc prawdą, jakobym sugerował, „by przeciwnicy legalizacji wycofali się ze swoich roszczeń i zaakceptowali to, że prawo nie będzie zgodne z ich przekonaniem”. Nic podobnego. Moim zdaniem przeciwnicy legalizacji mogą sobie rościć, co chcą, dążyć, do czego chcą, i mieć na temat homoseksualizmu takie przekonania moralne, jakie tylko się im podoba. Obejmuje to także przekonania o charakterze moralnym dotyczące ewentualnej prawnej regulacji związków homoseksualnych. Utrzymuję jedynie (i pogląd ten uzasadniam), że przekonań tych nie powinno się traktować jako argumentów w debacie publicznej, a opartych na nich dążeń uwzględniać. Dotyczy to oczywiście poglądów jakiejkolwiek wspólnoty moralnej, nie tylko katolików.

Docieramy tutaj do dwóch istotnych problemów związanych z zasadą neutralności światopoglądowej (moralnej) państwa i prawa. Problemów, które P.K. chyba nie do końca rozumie. Po pierwsze, zasada ta jest zasadą tzw. moralności publicznej, a nie jednostkowej. Nie wynika z niej bynajmniej obowiązek odstępowania od własnych przekonań w imię fałszywie rozumianej tolerancji. Zasada

ta wiąże jednak prawodawcę, a racją jej obowiązywania jest istnienie w ramach społeczeństwa wielu, często wzajemnie się nieakceptujących wspólnot moralnych.

Po drugie, uwzględnianie wymogów tej zasady prowadzić może u przedstawicieli niektórych wspólnot moralnych do fałszywego przekonania, że sama ta zasada, bądź produkty jej obowiązywania w postaci konkretnych regulacji, są właśnie wyrazem dominacji jednej opcji światopoglądowej nad pozostałymi. Problem jednak w tym, że uzasadnieniem dla zasady neutralności i regulacji nią motywowanych nie jest żadna określona opcja ideowa, lecz próba zharmonizowania wielu takich opcji w ramach jednego, pokojowo egzystującego społeczeństwa. Fakt, że harmonia ta sprzyja realizacji ideałów różnych opcji światopoglądowych w różnym stopniu. Stanowi to jednak nieuniknione następstwo jedyne go znanego nam w praktyce sposobu osiągnięcia takiej harmonii – pluralistycznego społeczeństwa demokratycznego.

Oczywiście wciąż ktoś może podnosić, że harmonizowanie poglądów w ramach społeczeństwa wcale nie musi być postrzegane jako cel nadrzędny. Zgoda, jednak nie ma to już nic wspólnego z aktualnie toczącą się w naszym kraju debatą na temat legalizacji związków osób jednej płci. Przedmiotem tej debaty powinno być na przykład ustalenie, dlaczego takie związki, w kontekście obowiązującego prawa i przyjętej filozofii państwa, nie powinny być legalizowane, skoro domaga się tego część (może niewielka) obywateli. Podnosiłem m.in., że tak długo, jak odpowiedź na to pytanie stanowi przywołanie przekonań moralnych, tak długo jest ona niezadowolająca.

Sens legalizacji

W pewnym momencie P.K., wpadając w nieco dramatyczny ton, pyta: „czemu rezygnacja z postulatu zakazu praktyk homoseksualnych nie wystarczy?”. Jak przypuszczam, jest to pytanie o to, czemu nie wystarczy ona „stosującym” te praktyki osobom? Odpowiedź wydaje się oczywista i wielokrotnie w moim artykule wspomniana. Otóż, brak zakazu praktyk w rzeczywistości prawnej III RP nie eliminuje pewnych szkód i niesprawiedliwości, dokuczliwych dla przynajmniej tych obywateli, którzy „mają nieszczęście” być orientacji homoseksualnej.

Równie łatwo udzielić odpowiedzi na kolejną z wątpliwości trapiącą P.K. Pyta on, jaka byłaby racja dla legalizacji, gdyby okazało się, że przeciwko niej jest większość społeczeństwa? Racją tą oczywiście byłoby dokładnie to samo, co jest nią w sytuacji, gdy większość chciałaby prawnego usankcjonowania związków osób jednej płci. Chodzi o zasadę neutralności (pluralizmu) z jednej strony i faktyczną dyskryminację jakiejś części obywateli z drugiej. Ewentualne istnienie woli politycznej do zmian prawa nie ma na to żadnego wpływu. Wola polityczna jest bowiem tym rodzajem „racji”, którym nie zajmuję się w moim tekście.

Ciężar dowodu

Ponownie P.K. rozmija się z faktami, gdy pisze, iż według mnie to przeciwnicy legalizacji muszą dowieść, że związki osób jednej płci są w jakimś sensie złe, szkodliwe czy groźne. Nie ciąży na nich żaden taki ogólny obowiązek. Jednak, jeśli jedna strona dyskusji wysuwa argumenty, najczęściej wskazując na pewne przypadki jednostkowych krzywd, a druga argumentuje, że nad tymi krzywdami przeważają ogólnie, generalnie zarysowane krzywdy czy szkody, to na niej właśnie spoczywa ciężar uzupełnienia luk pojawiających się w argumentacji. Że takie luki są, pokazuje zaś mój artykuł.

Argument za legalizacją

Swoją polemikę P.K. kończy omawiając zarysowany przeze mnie na marginesie głównych rozważań argument przemawiający za potrzebą legalizacji. Niestety, znów czyni on to bardzo nierzetelnie. Przede wszystkim, celem legalizacji nie jest zaradzenie trudnościom spadkowym osób tej samej płci, co sugeruje P.K., lecz zaradzanie wielu różnego rodzaju trudnościom. Także takim, które mają pozaprawny charakter. Chcemy tego, czy nie, niektórzy obywatele naszego kraju mogą czuć się pokrzywdzeni i dyskryminowani brakiem prawnego usankcjonowania ich długoletnich związków. Jak wiele jest takich osób, to już kwestia drugorzędna.

Przytoczony przeze mnie argument za legalizacją nie polega też na istnieniu jakichś domniemanych, powszechnych przekonań moralnych. Jego sedno stanowi przywołanie *intuicji* moralnych, pewnego *poczucia* tego, co sprawiedliwe.

Że takie intuicje posiadamy, i to niezależnie od jakiegokolwiek zinstytucjonalizowanej doktryny moralnej, pokazują liczne już dzisiaj, szeroko znane i komentowane badania¹. Jest przy tym bezsporne, że *intuicje*, o których tutaj mowa, w ostatecznej instancji często znajdują wyraz w przekonaniach moralnych funkcjonujących w ramach wielu różnych doktryn moralnych. Same w sobie jednak takimi przekonaniem nie są. Stanowiąc raczej ich przyczynę, nie zaś skutek. Z drugiej strony, bezsporne jest też to, że istnieją i takie intuicje moralne, które wynikają wprost z faktu zinternalizowania określonych norm moralnych. Nie o nie mi jednak chodziło.

Nigdzie nie twierdzę, iż „tym, co uniemożliwia dostrzeżenie słuszności legalizacji, są [jedynie – przy. M.K.] uprzedzenia i manipulacja”. Pisałem za to, iż jest niemal pewne, że grupa ludzi dostrzegająca potrzebę karania kradzieży dostrzeże także, **na przykład**, potrzebę postulowanego przez środowiska homoseksualne uregulowania spraw spadkowych. O ile tylko nie zostanie poddana manipulacji lub kierować będzie się uprzedzeniami, choćby i o moralnym zabarwieniu. Znamienne, że i P.K. gotów jest taką potrzebę rozpoznać.

Dlaczego od razu „związki”?

Mam wrażenie, że cokolwiek wymieniać będziemy jako źródło problemów dla osób jednej płci żyjących w nieformalnym związku, zawsze pojawią się głosy, że nie stanowi to wystarczającego uzasadnienia dla wydania stosownej regulacji sankcjonującej nowy rodzaj quasi-małżeństwa. Także P.K. zdaje się twierdzić coś podobnego – szczegółowe nowelizacje poszczególnych ustaw: tak, o ile to potrzebne, związki: nie.

Nie widzę tutaj jednak, mimo usilnych prób, żadnej realnej alternatywy. Na poziomie prawa, to i to jest po prostu nowelizacją obowiązujących już przepisów. Oczywiście na poziomie ideologicznym coś się zmienia. Ale, paradoksalnie, zmiana ta świadczy na niekorzyść proponowanego przez mojego adwersarza rozwiązania. Skoro bowiem jest wielce prawdopodobne, że część opinii publicznej

¹ Popularne wprowadzenie w to zagadnienie stanowi książka Matta Ridley’a *O pochodzeniu cnoty* (Dom Wydawniczy Rebis, Poznań 2000).

owe częściowe, szczegółowe nowelizacje i tak odczyta jako próbę wprowadzenia nowego rodzaju małżeństw tylnymi drzwiami, jaki jest sens unikania nazwania tych zabiegów legislacyjnych po prostu „legalizacją związków partnerskich”? W jakim celu w ogóle toczyć tę wojnę o słowa?

Zwieńczenie rozważań P.K. stanowią takie oto dwa wnioski. Po pierwsze, P.K. twierdzi, że aby rzetelnie zająć się kwestią legalizacji, trzeba m.in. poradzić sobie z problemem statusu epistemologicznego przekonań moralnych oraz problematyką relacji pomiędzy prawem, a moralnością. Moim zdaniem, tylko ten drugi problem jest istotny. A i nie o takie rozwiązanie nam chodzi, które sugeruje P.K. Naszym zamiarem nie powinno być bowiem ustalenie jakiejś ponadczasowej prawdy w kwestii związków prawa i moralności, lecz raczej **przyjęcie** jakiegoś modelu, **standardu** tych relacji. Gdyby było inaczej, obawiam się, że wszelka debata publiczna w sprawach, które jednocześnie są przedmiotem regulacji ze strony którejś z reprezentowanych w społeczeństwie doktryn moralnych, byłaby niemożliwa.

Po drugie, P.K. kategorycznie stwierdza, że moja argumentacja jest „nie tylko wadliwa, ale *zupełnie chybiona*, a przez to niewystarczająca dla uzasadnienia postulatu legalizacji związków partnerskich”. Jednak nie to było celem napisanego przeze mnie artykułu, lecz krytyczna analiza niektórych z argumentów przeciwników związków osób jednej płci. Może gdyby P.K. przeczytał uważniej chociaż tytuł mojego tekstu, nie miałby powodów, by traktować go jako przykład, jak sam pisze, „zwykłej, na poły agitacyjnej publicystyki”. I może mógłby wtedy skupić się na tych tezach, moim zdaniem interesujących i zasługujących na rzetelną polemikę, które rzeczywiście w tekście postawiłem, a nie polemizować z fikcyjnym, wymyślonym przez siebie i na swój własny użytek (a ostatecznie mnie przypisanym) stanowiskiem.